

11 listopada umarła nadzieja...

JAROSŁAW WAŻNY

Słuchałem niedawno, jak Pan Prezydent RP, w Łodzi, gaworzył przy katedrze na spotkaniu ze studentami o potrzebie powrotu polskiej działwy z zagranicznych studiów i spożytkowaniu nabytej przezeń wiedzy nad Wisłą.

Broń Bóg nie przymuszal, jeno zachęcał, bo, jak to ładnie ujął, winniśmy to naszemu krajowi. Parę godzin wcześniej słyszałem, jak poseł czołowej partii opozycyjnej, którą to sobie wspominamy wcześniej Pan Prezydent bardzo upodobał, z mównicy sejmowej grzmiał, że wybór Afroamerykanina na prezydenta USA to zmierzch kultury białego człowieka na świecie i ogólnie-globalna hekatomba, a jak wybiorą jeszcze czarnego papieża, to już pora umierać (to ostatnie o papieżu to już moja refleksja). Słuchałem tego wszystkiego w przeddzień Święta Niepodległości; 90 lat po tym, jak kadrowa wyszła z Krakowa, marszałek wysiadł z „czerwonego tramwaju” itp. I choć nie jestem przesadnie sentymentalny, a usposobienie mam umiarkowanie piłsudczykowski, to wstyd mi za to, że skundlenie wybrańców narodu dzierżących mandaty zdobyte w wolnych wyborach sięga dziś rynsztoka gorszego od tego, w którym nurzał polityków sam Piłsudski.

Po tym politycznym „słuchowisku” sięgnąłem po codzienną prasę. Czołowy brukowiec pisał o skandalu obyczajowym, „poważne dzienniki i tygodniki opinii”, jak zwykle o bieżącej, na którą chorują moiżni tego kraju. Prasa kolorowa o skandalu w łonie celebrytów. Jedynie mały tygodnik lokalny napisał o tym, że dzieciaki z miejscowej podstawówki wygrały konkurs i zdobyły dla małej wiejskiej szkółki upragniony komputer z dostępem do Internetu. Pisząc to mam świadomość, że nie odkrywam prochu. Tymi słowy chcę jedynie podkreślić, jak bardzo świat polityki i mediów, który przenika się nawzajem, jest oderwany od tego, czego tak naprawdę potrzebuje ten kraj. Ta przykra diagnoza nabiera jeszcze bardziej ponurego wymiaru, kiedy wsluchamy się w wyziewy kłótni premiera, prezydenta i eksprezydentów na temat zaproszenia na bal, formy doręczenia listu bądź też jej braku, jakby to od balu na cześć niepodległości w Pałacu Namiestnikowskim biedny lud miał uzależniać swoje szczęście na nadchodzące dni. Czy uda mu się w telewizji dostrzec rąbek sukni prezydentowej? Czy przemkiem przed kamerą pani premierowa z mężem? A potem

przy kaszance i piwie z „Tesco” będzie udawał, jakaż to duma rozpiega go – prosty polski lud – za sprawą niezwyklej klasy i sprawności umysłu swoich wybrańców. W tej groteskowej scenerii na prezydenckie salony dumnie wjadą także politycy, którym na sercu leży dobro tegoż ludu, w czerwonych od krwi powstańca krawatach, mówiący o potrzebie równomiernej redystrybucji dóbr. Podadzą sobie ręce ze „stropianowymi” ministrami, podkreślą doniosłość chwili oraz fakt, że w dniu świątecznym dawne podziały i urazy idą w niepamięć, bo liczy się Polska! Rzecz jasna, następnego dnia znowu będą obrzucać się łajnem przed kamerami, bo telewizja żyje sensacją, a oni żyją od kadencji do kadencji.

W tym kociokwiku Polacy wykazujący odrobinę zainteresowania swoim państwem dawno już stracili nadzieję, że którakolwiek z sił politycznych w tym kraju zmieni go na lepsze. Ci wszyscy mądrzy spindoktorzy i uczeni w piśmie, którzy starają się przekonać lud wyborczy do swojej wizji państwa, albo są bezdennie głupi, albo na śmierć cyniczni, wiedząc, że plotą ludziom dyrdymały, ale „ciemny lud wszak” itd. Jeśli więc nie ma szans na mężów stanu z prawdziwego zdarzenia, inteligencja kształci się na Zachodzie i wbrew namowom Pana Prezydenta raczej nie wróci, to kto w przyszłości, kiedy zramolały i zgrzybiały będą brał do ręki gazetę, zechce poprowadzić polskie stado? Lewica? Prawica? Quasi-liberałowie? Nowa – czwarta siła?

Podstawowy błąd w krystalizowaniu się kadr pierwszej „Solidarności”, rzutujący później na całą polską prawicę, polegał na tym, że elity, skupione w kilku komitetach i związkach, były tak jak dzisiejsza władza nieosiągalne dla powiatowych „dołów”. Wiązało się to wówczas z konspiracją itp., niemniej już po 1990 roku niewiele się zmieniło. „Aktyw” z lokalnych komórek NSZZ nie miał wzorców na swoim podwórku, których mógłby dotknąć, spytać o radę, które pokazywałyby mu – nie tyle w broszurach i prasie ulotnej, co w praktyce – jak mądrze sprawować powierzony przez społeczeństwo mandat. I mimo że aktywi solidarnościowi brzydził się komu-



na, to musiał pracować w podległych komuchom fabrykach i zakładach pracy, gdzie przesiąkał tak jak tamci wódą w godzinach urzędowania, łapówkami, donosicielstwem i rzeźbiarstwem partyjnym na zasadzie „kto nie z Mieciami, tego zmieciami”.

Piszę o tym po to, aby jeszcze bardziej zrujnować w Was, czytelnicy, nadzieję na to, że pełna frazesowy prawica i tak samo „społecznie wrażliwa” lewica cokolwiek tu poradzi, bo jedni i drudzy są tak samo nieskuteczni, a wykształcili się na tych samych błędach, które teraz powielają. Klasa polityczna jest dziś skoncentrowana na czubku swojego nosa; opasłe elaboraty o stanie polskiej polityki autorstwa tzw. politycznych komentatorów mogą zdać się jedynie do użytku higienicznego w łazarecie. Media i politycy uprawiają ze sobą perwersyjny stosunek; przypochlebiają się sobie nawzajem – jedni mają gdzieś prawdę i rzetelność, drudzy – wyborcze zobowiązania.

Co chwila umiera ktoś, kto mówił w tym kraju mądre rzeczy; kto rozumiał prostych ludzi – ich codzienność, kto doceniał ciężką pracę. Umarł Jacek Kuroń, umarł Kapuściński, Małachowski, niedawno odszedł był Mieczysław Rakowski. Coś mi się wydaje, że jeszcze chwila i umrze na zawsze moja nadzieja...

Autor jest muzykiem zespołu Kult.